Adam Fiala. Artysta niepokorny.

Pomiędzy życiem i sztuką polskiego „Aborygena” w Australii.



Adam Fiala na tle Blue Mountains w Australii.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Z zawodu wyuczonego jest Pan prawnikiem, z zawodu uprawianego – artystą. Jak pan godzi te dwa zawody?

Adam Fiala: Na szczęście nigdy nie musiałem wybierać. Jako prawnik byłem rodzajem artysty, jako artysta rodzajem prawnika, znałem się na prawie autorskim i *copy right*. Owszem studia polegały na nauce pamięciowej, potem aplikacje: sądowa i adwokacka, ale gdy wreszcie zdobyłem zawód radcy prawnego stałem się prawnikiem artystą. Pracowałem tylko w terenie na maleńkich działkach – półetaty, ćwiartki. Dawało to w sumie wynagrodzenie górnika dołowego przy minimalnej stracie czasu. Nie obowiązywało mnie siedzenie w urzędzie, wyjeżdżałem dwa razy w tygodniu najpierw w województwie lubelskim, potem warszawskim, w tak zwany teren. Pieczątką radcy podbijałem działania prezesa i ta praca się utrzymywała przy odrobinie szczęścia, a takowe miałem, do ogłoszenia stanu wojennego.

Potem się znacznie popsuło, tak więc nie żałowałem radcostw wyjeżdżając z kraju. W 1985 zjawiłem się w Australii, która z natury kochała karczujących pionierów – emigrantów, a nie radców prawnych z PRL-u.

JSG: Wybrał Pan prawo, jako kierunek studiów ze względu na tradycję rodzinną?

AF: No właśnie, prawo. Ojciec był adwokatem, wuj adwokatem. Ale ja osobiście uważałem prawo za suche i nudne. W Lublinie wtedy nie było Szkoły Aktorskiej czy też Konserwatorium, moje młodzieńcze pasje to nie było prawo, ale aktorstwo oraz gra na fortepianie. Uwielbiałem grać utwory klasyczne, zwłaszcza Chopina. Kto wie, gdybym poszedł do Konserwatorium, może brałbym udział w Konkursie Chopinowskim?

Ojciec był pomocnikiem wuja i marnie zarabiał, tak że w domu się nie przelewało. Poza tym większość pieniędzy pochłaniało hobby ojca, czyli zbieranie unikalnych znaczków pocztowych. Później za taki jeden znaczek można było kupić małego Fiata. Ale los się tak ułożył, że nic nie dostałem w spadku po rodzicach, jeżeli nie liczyć czarno-białego albumu fotograficznego ocenzurowanego przez matkę, bo był między rodzicami konflikt zakończony rozwodem i wyjazdem ojca z Lublina.

Prywatna nauka gry na pianinie dała mi możliwość zajęcia się później poezją śpiewaną, ale nie miałem większych sukcesów w tej dziedzinie i jak wyczuwałem… perspektyw. Byli inni dużo lepsi. Ponoć na dłoni mam znak, że wybrałem niewłaściwy zawód. Ale ja sobie świetnie dawałem radę z tymi terenowymi radcostwami przez dobre kilkanaście lat i zdobywałem materiał niezbędny dla pisarza czyli „samo życie”.



Adam Fiala (w środku) z bratem i kuzynem, fot. arch. rodzinne.

JSG: Artystyczne zamiłowania miała Pana mama?

AF: Moja matka była urodzoną artystką, miała bardzo sprawne ręce, robiła świetnie kopie znanych polskich malarzy. Jej problemem było to, że nie stać ją było na studia na Akademii Sztuk Pięknych, kupa rodzeństwa, bieda. Mój dziadek, a jej ojciec był kowalem artystycznym, gdyby dożył, w Polsce Ludowej nieźle by sobie radził. Teraz to chyba by go zamęczono podatkami, bo obecni urzędnicy są bardzo sprawni, w odróżnieniu od dawnych. Matka w pewnym okresie też dobrze zarabiała, wykonując ręcznie malowane Madonny dla *Ars Christiany*. To zajęcie traktowane było przez ówczesne władze finansowe jako rzemiosło artystyczne, czyli wolne od podatku.

Przestała malować, gdy wprowadzono podatek.

Matka zbierała moje dziecięce rysunki lokomotyw, mimo, że powątpiewała w mój talent, bo od początku inaczej rysowałem i malowałem niż wszyscy. Mówiła „kto to kupi?" Ale jednak później sprzedawałem obrazy przez Desę Handlu Zagranicznego w Warszawie, miałem nawet kilka wystaw w Europie. Matka nie rozumiała, dlaczego ta dziwna sztuka ma mieć przyszłość. Cała rodzina uwielbiała Matejkę, a wybrzydzała na Picassa, lansowanego wtedy przez „Przekrój", kiedy jeszcze oficjalnie trwał socjalistyczny realizm.

JSG: Jakie wartości przekazała Panu rodzina?

AF: Przede wszystkim wartości religijne. Chodziłem na nabożeństwa do pobliskiego kościoła na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Bardzo żałowałem, że później łacinę zastąpiono językiem polskim. Łacina miała coś dla mnie z mistycyzmu i spirytualizmu. Kochałem Lubelski Cud w katedrze z płaczącą za komunistów Matką Bożą. Tak, lubię religię, ale bynajmniej nie jestem pobożny. Religię traktuję jako sprawę kulturową, właśnie te korzenie, o których mawiał nasz Papież, *nota bene* profesor KUL-u.

JSG: Proszę opowiedzieć o swoim debiucie literackim.

AF: Nieformalnie debiutowałem bardzo wcześnie. Wuj adwokat prowadził gościnny dom w Warszawie, ożeniony z autentyczną księżniczką, panią M. Miała mirtę książęcą w metryce i herb. Otóż tam napisałem pierwszy rymowany patriotyczny wierszyk o Polsce w niewoli, z optymistycznym zakończeniem, że „kraj ukochany wreszcie zrzuci kajdany", co się stało. Czasy, prywatnie biorąc, były trochę mistyczne, wuj zasuwał firanki i puszczał płytę „Czerwone Maki na Monte Cassino". Była to zakazana melodia tak jak za Niemców: „Siekiera, motyka, piłka, szklanka".

Prawdziwy mój debiut wiąże się ze snem. Pod naszym mieszkaniem lokatorskim w Lublinie była suterena, w której mieszkała samotna kobieta z siedmioma kotami. Polewałem je z góry, gdy wygrzewały się na słońcu. Otóż śniło mi się, że przez jej suterenę przejeżdża pociąg parowy, taki, jakie wtedy jeździły. Opisałem sen, wydrukowali, dostałem 100 złotych honorarium. Pomyślałem, że to niezłe zajęcie być Panem Literatem, jak mówili milicjanci do pisarzy. Teraz czasy się zmieniły, trzeba samemu zapłacić, by coś opublikowali. Widocznie pisarze za mało walczyli o Nowe.

JSG: Czy są Państwo emigracją Solidarnościową?



Adam Fiala jako student prawa na UMCS w Lublinie, w latach 60., fot. arch. rodzinne.

AF: Tak, jestem emigrantem epoki solidarnościowej, mimo że oficjalnie do związku nie należałem. Ale podobał mi się Wałęsa – brunet, przystojny, przypominał nieco Piłsudskiego, z poczuciem humoru, bo podpisywał dokumenty olbrzymim długopisem i lubił mieć Matkę Boską w klapie. Ja mam maleńki medalik Matki Boskiej z Niepokalanowa, wszyty w portfel, to mój talizman. Lubiłem też jego zwrot „w temacie”. Wyobrażałem go sobie jako

Konrada Wallenroda. Musiał wejść w system, by z nim walczyć. Stąd dla mnie te wszelkie rozważania: Bolek nie Bolek nie mają większego sensu. Nasz „Papa" też nie był przeciwnikiem systemu, był obojętny. W przeciwnym wypadku nigdy by nie został arcybiskupem, a potem papieżem. W wyniku porozumienia między rządem a kościołem, kościół wyznaczał kandydatów na wysokie stanowiska, ale rząd ich akceptował. A że Jan Paweł II był znakomitym dyplomatą, to już zupełnie inna sprawa…

JSG: Dlaczego wyjechali państwo tak daleko, aż do Australii i jakie były początki pobytu w obcym kulturowo świecie?

AF: To był los. Złożyliśmy podania do Stanów, Kanady, Australii i właśnie ten ostatni kraj nas zaakceptował, ale z pewną wyczuwalną niechęcią. Mimo, że Niemcy dawały mi azyl jako prześladowanemu członkowi rozwiązanego Związku Literatów Polskich, dla Australii było to obojętne, przyjęto nas ze względów humanitarnych oraz dlatego, że mieliśmy koneksje z „siostrą bratowej". Mówiliśmy panu w Niemczech, który pomagał w pisaniu podań, że siostra bratowej to słaby argument, lecz on odpowiedział: „Ale siostra". I miał rację. Siostra bratowej nie pojawiła się wprawdzie na lotnisku, a mimo to nie cofnięto nas do Niemiec. Mieszkaliśmy najpierw w Hostelu w Melbourne, a potem przenieśliśmy do prywatnych apartamentów w Perth. Bardzo mi się podobało słowo: apartamenty. Pisarz musi być

wrażliwy na słowa.

Było trochę ciężko, nowy, tak różny od europejskiego świat, no i z zimy w zimę, bo wylądowaliśmy w Melbourne, które ma klimat „cztery pory roku w jednym dniu” akurat w czerwcu. Kocham słońce i tego mi brakowało. W Perth otrzymałem go z nawiązką, co skończyło się rakiem skóry. Ale nie przejmowałem się, bo „co ma wisieć nie utonie”.

JSG: Proszę opowiedzieć o życiu artysty w Australii.

AF: W Australii, wyznającej zasadę multikulturalizmu, życie artystyczne było dość skomplikowane. Wielokulturowość w praktyce oznaczała, że powinieneś się udać do swojego kulturowego środowiska czyli Polonii w Perth, która była jakaś niełaskawa i do tej pory taka pozostaje. Krążył dowcip, że i Picassa by skierowano jako „etnika” do grupy Latino. Brałem udział w licznych wystawach, ale zrezygnowałem, bo bardzo trudno było się przebić. Polska grupa była modna w okresie Solidarności, ale gdy w Polsce zmienił się system jakoś o niej w Australii zapomniano. Nie biorąc pod uwagę, że emigracja z Polski była zawsze dynamiczna, w myśl zasady „Polak potrafi”.

Polak miał także duże zdolności do improwizowania. Ale nie słyszałem by w Australii jakiś polski pisarz czy artysta się wybił kulturowo na same szczyty, choć wiem, że na przykład pani dr

Teresa Podemska, poetka i literaturoznawca, włożyła w porównaniu ze mną, dość leniwym, ogrom wysiłku studiując i studiując. Mnie już się nie chciało powtarzać kursu prawa. Zresztą do tego potrzeba doskonałej znajomości języka, ja do tej pory mam kłopoty ze *spelingiem* i prawidłową gramatyką, choć i owszem piszę teksty piosenek dla siebie w języku angielskim czy australijskim.

Sztuka w Australii jest bardzo zbiurokratyzowana. Tutaj to kochają. Wystawy praktycznie, poza wyłożeniem sporych kosztów, dają to, że nadal tkwi się w punkcie jeden. Ale jeżeli ktoś kocha tworzenie, tak jak ja, to go to mało obchodzi. Kocham sam proces pisania, malowania czy muzykowania. Medale, nagrody, osiągnięcia, są dla mnie wtórne. Zresztą kiedy byłem aktywnym klientem opieki socjalnej zauważyłem, że oni bardzo nie lubili *artu*, więc o tym już nie wspominałem. Co lubili? Nie wiem. Może kucharzenie i malowanie ścian. Teraz jestem pełen podziwu dla tak zwanych artystów ulicznych zdobiących mury. To ciężkie i niebezpieczne dla zdrowia zajęcie.



Adam Fiala na wycieczce w Sydney.

JSG: Jak Australia odbiła się w Pana twórczości?

AF: Australia okazała się znakomitym źródłem wszelkich pomysłów, zwłaszcza, że czułem się artystą podziemnym i niezależnym. Robiłem to, co sam chciałem, co mi bardzo odpowiadało bowiem jestem naturalnym samoukiem. Obserwuję pilnie innych, ale przede wszystkim lubię własne przemyślenia i koncepcje. Gdy byłem w Polsce fascynował mnie absurd i szarość życia. Tutaj było kolorowo, ale zawsze trochę absurdu można było z powodzeniem znaleźć. Gdybym traktował Australię jako

ląd przysłowiowych „Saksów”, dawno bym stąd odleciał. Wielu znajomych to zresztą zrobiło…

JSG: Jakie ma Pan doświadczenia z australijskim środowiskiem polonijnym?

AF: Polonia marudziła na nas, że nie mamy stałej pracy (literaturę i sztukę uważano za hobby). Ciągle to słyszeliśmy. Nawet u lekarki, u której zacząłem się w końcu leczyć na depresję. Problem był w tym, że nikt z naszej trójki nie mógł znaleźć stałej pracy. Jedynie syn Andrzej przez pewien czas pracował w instytucji opiekującej się seniorami i to za pół darmo. Stara Polonia podobno ciężko fizycznie pracowała, nawet przy karczowaniu drzew, to był warunek jej przyjęcia po wojnie, gdy w Polsce zapanował komunizm. Ciągle więc słyszeliśmy, że żyjemy na koszt podatnika i najgłośniej o tym mówiła właśnie Polonia, a nie kulturalni i dyskretni Australijczycy, traktujący każdego po imieniu, bez tego: „Pan wie, kim ja jestem?”

Niektórzy moi lubelscy znajomi mawiali, że pod płaszczykiem wesołkowatości ukrywam depresję. Mieli rację. Depresja jest najpowszechniejszą chorobą XXI wieku. Nowością dla mnie było to, że dowiedziałem się, iż nawet ludzie sukcesu jak Churchill (pomijając jego politykę, dostał Nobla literackiego) mieli *black doga* czyli głęboką depresję. Ja miałem depresję z powodów rodzinnych. Ojciec: dyrektor, adwokat, radca prawny, był

prymitywnym domowym tyranem. Ale nie uciekałem w alkohol czy środki farmakologiczne (o narkotykach wtedy nie mówiono nawet). Uciekałem w przyrodę, na pobliskie pola, na zmarznięte zimą grudy. Do Starego Lasu. To było moje najlepsze i najskuteczniejsze lekarstwo.

Gdy znalazłem się w Australii depresja powróciła. Na emigracji mogłem jedynie jeździć na taksówce. Jakaś siostra zakonna w Melbourne doradzała mi bym został motorniczym tramwaju. Jednak byłem marnym kierowcą ze słabą orientacją w ulicach. W Warszawie z tego powodu oblałem prawo jazdy. Egzaminator na pudełku papierosów napisał „Orient". Brzmiało to filozoficznie, ale chodziło o moją orientację w terenie. Powiedzieli, że nigdy nie powinienem zasiadać za kółkiem. Nawiasem mówiąc tego egzaminatora spotkałem później w Ustce, kiedy dojechaliśmy tam wraz z żona Anną i synem Andrzejem, naszym groszkowym fiacikiem, którego później trzeba było zamienić na paszport.


jeden myśliwy, jeden tygrys
ADAM FIALA
ADAM FIALA
ADAM FIALA
SPRAWY RODZINNE
Adam Fiala
termiterium wisielców
ADAM FIALA
zygzakiem po prostej
ADAM FIALA
zygzakiem po prostej
ISKRY
KASKADERZY
Adam Fiala
Podróż Tomka na dwie planety
miesiąc mojego życia
1973
ADAM FIALA
»KIEDY ŚWIECI MAJĄ«


ADAM FIALA
BIBLIA
przez moje okulary
ADAM FIALA
RASPUTIN
ADAM FIALA
PRZESZCZEP GŁOWY
Adam Fiala
Aforyzmy o miłości
z różą i kodem
Adam Fiala
ADAM FIALA
U BRZEGÓW ABSURDU
Adam Fiala
Mitologia grecka na nowo
Miniatura

JSG: Od czasu debiutu literackiego, jak wygląda Pana przygoda z piórem?

AF: Jako azylant w Niemieckiej Republice Federalnej odczuwałem chwile euforii, z zapałem rozpocząłem pisanie mojej „Odnowy". Myślałem, że na nią będzie zapotrzebowanie w Wolnym Świecie. Posłałem do *Polish Book Fund* w Londynie. Nawet się początkowo podobała. Ale potem zażądali dużych skrótów, następnie okazało się, że zebrali pieniądze, ale muszą wydać rzecz o księdzu Popiełuszce, więc moje odpadła. W końcu odmówili zwrotu maszynopisu, mimo mojej licznej korespondencji. Więc już początki z moją twórczością w Wolnym Świecie były pechowe.

W Australii twórczość traktowałem jako rodzaj pracy, wykonywanej systematycznie w godzinach rannych, mając świeży i kreacyjny umysł. Pisałem i rysowałem bardzo dużo dla dzieci. Miałem już pewne doświadczenie w tej dziedzinie. Lubelskie Wydawnictwo opublikowało moją „Podróż Tomka na dwie Planety". W Polsce znajomy literat Zbigniew Fronczek umożliwił mi opublikowanie „Prywatnej Australii". A potem zaczepiłem się jako grafik i autor w krakowskiej „Miniaturze". I na tym był koniec. Pojawił się mur nie do przebycia. Wynajęliśmy nawet lokalną anglistkę-poetkę w Perth, żeby wygładzała mój język, bo Andrzej twierdził, że używam polskiej składni i

angielskich słów. Też miałem zerowe rezultaty. Depresja się pogłębiała. I znowu z niej musiałem wyjść, tym razem nie na pola i lasy, ale na piękne plaże Perth. Są czyste, nie zatłoczone i ciągną się prawie w nieskończoność.

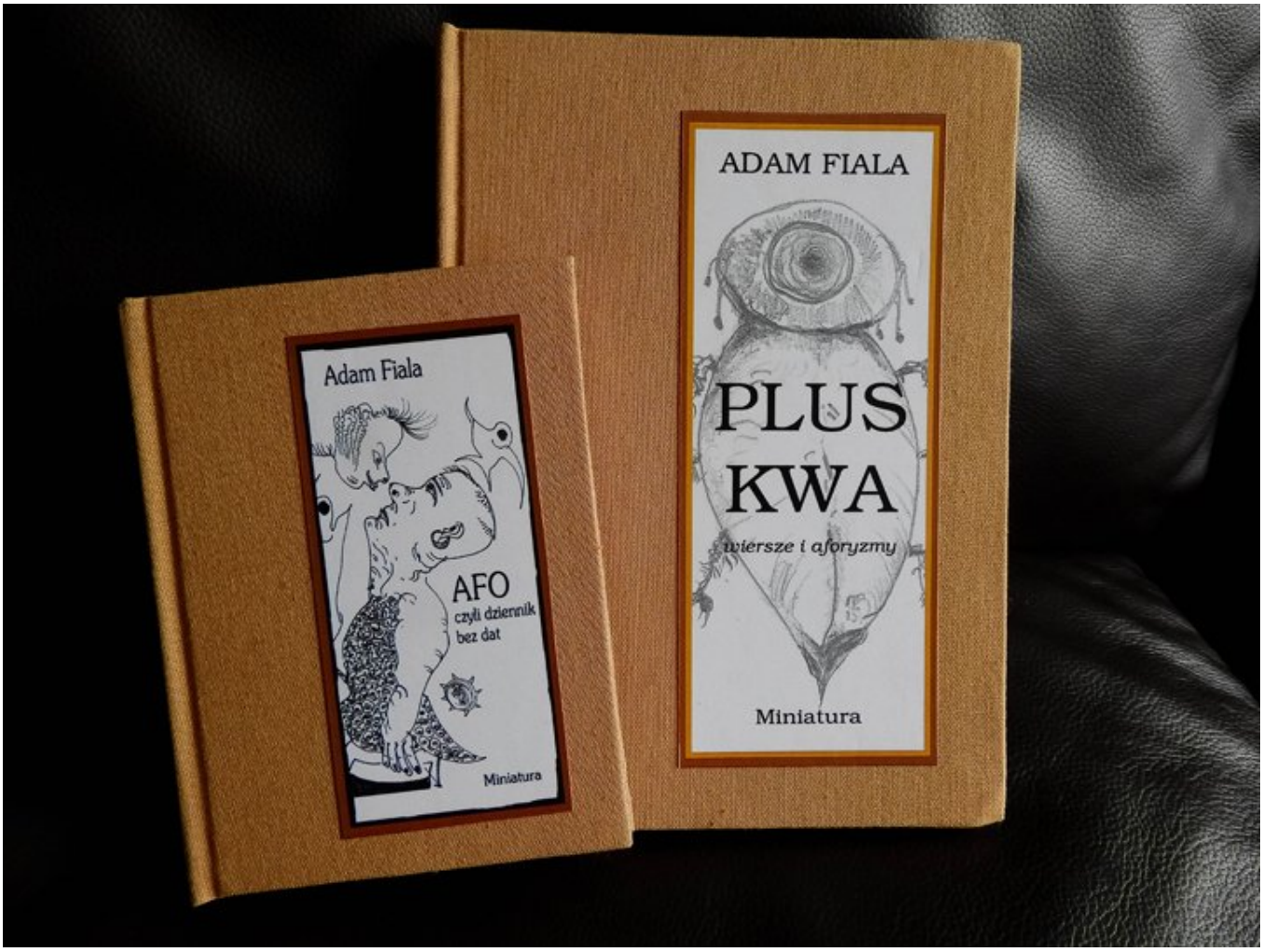
Oglądałem ostatnio słynną *Bondi Beach* w Sydney. Owszem, piękna, ale to tylko podkowa. W Perth możesz iść, iść, iść. Prawie w wieczność wyimaginowaną. Depresję leczyłem także u polskiej lekarki doktor K. Była to kobieta sukcesu. Jedna z niewielu z nowej postsolidarnościowej emigracji, która pracowała w swoim zawodzie. Była też niezłym psychologiem, często załamywała nade mną ręce, ale pomagała wystawiając zaświadczenia, dzięki którym trwałem. Dla profesorów i intelektualistów naturalnym rozwiązaniem jest na emigracji nie taksówka, ale dalsze studiowanie nawet w podeszłym wieku.

JSG: Jakie jest Pana podejście do życia?

AF: Z natury jestem samotnikiem i indywidualistą, a także naturalnym samoukiem. Moim wzorem w młodości był Van Gogh, który się sam nauczył malarstwa. Ponoć rozbijał gipsowe figury, które mu polecono kopiować, dlatego niczego formalnego ze sztuki nie dokończył. Zresztą chciał być pastorem, ale znalazł poważną rozbieżność między mistycyzmem, a praktycznym życiem kościoła. Mnie właśnie w religii pociąga spirytualizm i mistycyzm, którego obecnie kompletnie brak. Ba, nawet jest

przez autorytety niemile widziany.

W moim życiu uspokojenie nastąpiło dopiero wtedy, gdy oficjalnie dostałem australijską emeryturę, dzięki czemu mogłem skupić się tylko na mojej twórczości. Systematyczna działalność rankami spowodowała, że nagromadziłem potężne *body of work* zarówno w sztuce jak i literaturze. Nie wspominając już o tym, że napisałem i skomponowałem około 300 piosenek. Dostałem za nie kilka razy nagrody na konkursach w Sydney poświęconym Strzeleckiemu i Kościuszce. Dużo też pomaga mi gra na australijskim *didgeridoo*, ponieważ lubię Kulturę Aborygenów. Sam się nawet poniekąd uważam za Polskiego Aborygena w Australii…



JSG: Uprawia Pan różne dziedziny – rysunek, malarstwo, poezje, a także muzykę. Czy te dziedziny się dopełniają? Buduje Pan pomiędzy nimi mosty?

AF: Głównym mostem w mojej twórczości jest humor i satyra. W Polsce ze względu na pisanie obyczajowe połączone z humorem, porównywano mnie z Dickensem, którego bardzo lubiłem. Potem polubiłem Franza Kafkę.

Początkowo zakładałem (przylatując znałem już trochę angielski, nawet czytałem Steinbecka w oryginale), że mój poziom języka

tak się rozwinie, że bez trudu będę pisać poczytne powieści, wreszcie zarabiając na siebie i rodzinę. Tak się niestety nie stało. Poza tym rodzina się rozpadła. Po czasie wróciłem do Anny, ale już nie jako mąż, ale po prostu przyjaciel, współpracujący z nią w dziedzinie sztuki. Anna ma znakomite oko fotografa, malowała piękne, bardzo wysmakowane obrazy, tkała też gobeliny. Miała dużo więcej wystaw niż ja, choć też nie zrobiła tzw. kariery.

W międzyczasie dowiedziałem się, że żywot pisarza w wolnym, pozostawionym kraju, też stał się pod każdym względem trudny, więc nie żałowałem tej ucieczki, bo tak to można by nazwać. Jechaliśmy niby na leczenie syna do Francji, wysiedliśmy z pociągu we Frankfurcie nad Menem i tak dalej, i tak dalej toczyło się to nasze życie…

JSG: Co Pana fascynuje w otaczającym świecie i czym się Pan inspiruje w swojej twórczości?



Adam Fiala w Domu Polskim w Bedford.

AF: Lubię zjawiska nadprzyrodzone i niewytłumaczalne. Spirytualizm znalazłem w bardzo dynamicznej sztuce Aborygenów, której jestem entuzjastą. Ich *dreamtime* stał się moim *dreamtimem*. Nauczyłem się gry na *didgeridoo*, która ma właśnie spirytualne brzmienie, prawie dosłownie. Potrafię grać na tym instrumencie kwadrans bez żadnej przerwy. Ich malarstwo przypomina mi pewne okresy twórczości ulubionego przeze mnie Picassa. Pamiętam z Polski dowcip, ławki malowano w „stylu Pikas”, tak było w oficjalnych cennikach.

Aborygeni z drugiej strony są bardzo pamiętliwi, ciągle wspominają krzywdy wyrządzone im przez białych. Ja mam inną naturę. Po jakimś czasie nawet do wrogów nie żywię urazy. W Polsce studiowałem na KUL-u za wstawiennictwem wujka księdza, którego lubiłem, ale nie zgadzałem się z pewnymi doktrynami, a zwłaszcza z celibatem. Najpierw byłem na historii sztuki, a potem po prawie, na psychologii w ramach tak zwanej filozofii chrześcijańskiej. Lubiłem KUL, bo na jego terenie czułem się jak w innym państwie. Studenci KUL-u nie mieli obowiązku uczestniczenia w zajęciach na studium wojskowym (moje małe udręki), a także KUL nigdy nie brał udziału w manifestacjach pierwszomajowych. Trudno było nie lubić tego święta, bo zawsze świeciło w tym dniu słońce. Jako studenci byliśmy politycznie obojętni, nikt ze znajomych nie słuchał „Wolnej Europy", zresztą bardzo zagłuszanej. Cieszyliśmy się, że mamy studia za darmo i bardzo tanie książki. No i było mnóstwo rajdów turystycznych, czy biesiad literackich.

JSG: Na jakie etapy podzieliłby Pan swoją twórczość?

AF: W twórczości widzę etap fascynacji i etap dojrzewania czyli przemyśleń. Ale też lubię kompletną spontaniczność, działanie podświadomości i wyciąganie pomysłów, jak królika z przysłowiowego kapelusza. Fascynacje znajdowałem w Polsce w pięknym słonecznym lubelskim lecie oraz mroźnej i też słonecznej zimie. Gdy wyemigrowałem do Warszawy (pierwsza

emigracja) już tego słońca nie było. Większość pochmurnych dni na Równinie Mazowieckiej. Perth w Zachodniej Australii ma idealny klimat, minimalna ilość burz i najwięcej słońca z całej Australii. A także czyste, nie zatłoczone plaże i piękny Ocean Indyjski. Czego więcej potrzeba człowiekowi? Domów, sportowych samochodów? Mam dwa rowery i dzięki nim dobre zdrowie. Mieszkam niedaleko plaży.

W Polsce czytałem „Żywot człowieka poczciwego", ja swój mogę nazwać „Żywotem człowieka szczęśliwego". Ale też znam osoby z Polski nie znoszące Australii, każdy ma prawo do własnego punktu widzenia.

JSG: Różne Pana pola twórczości, zarówno te literackie, jak i wizualne łączy jedno – przedstawia Pan wewnętrzne demony tkwiące w człowieku za pomocą symboli i znacznej deformacji rzeczywistości. Czy taka jest Pana intencja?

AF: Tak, kocham symbole i znaki. Złapałem to od Aborygenów. Stąd także fascynacja sztuką japońską i chińską, potrafię pisać haiku, mam w swym prywatnym zbiorze kilkaset sztuk haiku. Lubię też naśladować ich pismo, podobnie jak mimiczne gesty osób głuchych. Z tym drugim to trzeba uważać bo nazywają to złośliwą parodią i od razu oskarżają o rasizm czy podobne dyskryminacje. Wewnętrzna cenzura obecnie wyznacza granice humoru. I honoru. Ale oficjalna też jest, zwłaszcza obyczajowa.

Australijczycy mają bardzo ubogi zakres przekleństw. Właściwie tylko jedno słowo na „f”. Polacy i Hiszpanie w tej dziedzinie mają więcej pomysłowości…

JSG: Czy Pan się uważa za artystę figuratywnego, spirytualistycznego czy surrealistycznego?

AF: Jestem półfiguralny, półabstrakcyjny i półspirytualny. Kocham duchy i zjawiska nadprzyrodzone i fascynują mnie morderstwa, których nie można wykryć mimo kolosalnych nakładów. Napisałem nowelę o zaginionym samolocie w Oceanie Indyjskim do tej pory nie odnalezionym. Napisałem też o samolocie zestrzelonym nad Ukrainą. Oczywiście fantazje. Obie sprawy są nadal nie wyjaśnione. Dlaczego to napisałem? No, dla własnej przyjemności i satysfakcji, kto by się beznadziejnie prosił w australijskich wydawnictwach? Szkoda i czasu i stresu, który zawsze towarzyszy tego typu działaniom. Lubię, że nie wszystko trzeba odkrywać i najlepiej niech pozostaje tajemnicą.



Adam Fiala zimą w parku w okolicach Perth w Australii.

JSG: Gdyby miał Pan możliwość rozpocząć swoją karierę zawodową od początku, i wiedział by Pan o sobie, to, co wie Pan teraz, poszedłby Pan tą samą drogą?

AF: Najprawdopodobniej wylądowałbym, gdyby się cofnął czas, nie na prawie, ale w Wyższej Szkole Teatralnej. Fascynował mnie polski komik Adolf Dymsza, miałem naturalne zadatki komika, rozśmieszałem klasę ku utrapieniu nauczycieli i w konsekwencji ciągle wzywanej matki. Na akademiach szkolnych recytowałem wiersze, nie, nie o Stalinie tylko satyry o bikiniarzach, to coś w rodzaju *punków* obecnego czasu. Bikiniarze mieli spodnie wąziutkie jak rurki i olbrzymie samodziałowe marynary. A także lekceważyli socjalistyczną, żelazną dyscyplinę pracy. Był taki wierszyk: „Bikiniarze to są ludzie tacy” i tak dalej łatwo

dośpiewać do rymu. Ułożyłem też kiedyś wierszyk o KUL-u. Tam była słynna impreza na cały Lublin: doroczny, jesienny bal na KUL-u, zwany Eutrapelią. Dokładnie nie wiedziałem co to znaczy, ale podobała mi się nazwa. Ułożyłem taki wierszyk:

> Eutrapelija, twista wywija,
>
> ksiądz rektor z nami, fika z KULwami.

Z tym że KULwy to były po prostu studentki KUL-u, a nic więcej.

Głównym problemem każdego pisarza czy artysty jest potrzeba zarabiania na życie. Teraz, gdy mam juz 77 lat i dobre zdrowie mam to z głowy, poza tym mam dwie emerytury, australijską i polską. Więcej grzechów w tej dziedzinie nie pamiętam, a te które pamiętam niech mi będą odpuszczone…

Adam Fiala na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/adam-fiala-wiersze-i-rysunki/

Inne artykuły:

http://www.zrobtosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?-sekcja=4&arty_id=14744

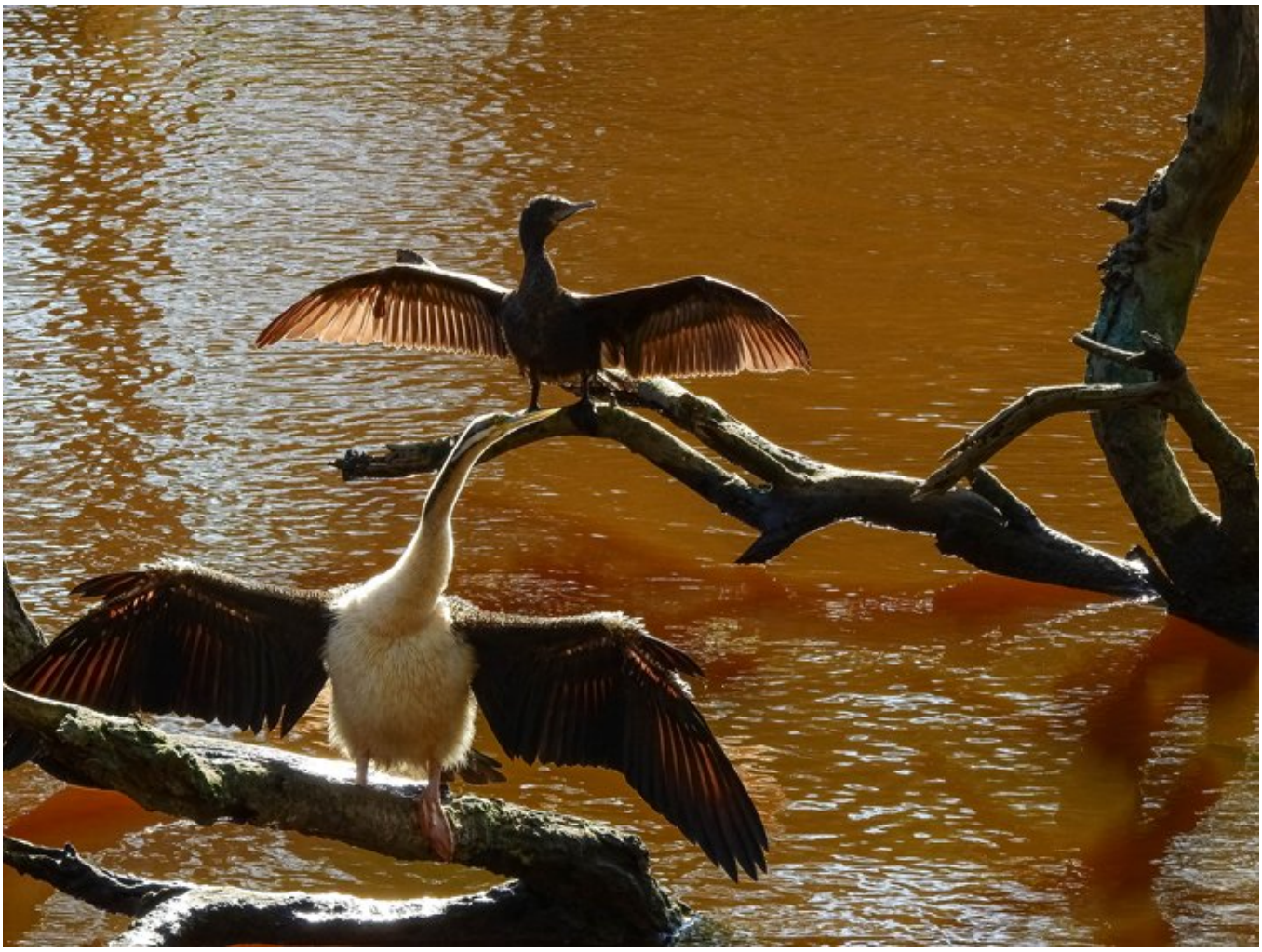
https://australink.pl/slawa-chwala-polonii-australijskiej--czyli-o-adamie-fiali/

Galeria prac Adama Fiali ukaże się na Culture Avenue w środę 22 listopada 2017 r.

Na skrzydłach kormoranów – haiku

Fotografie: Anna Fiala

Teksty: Adam Fiala



Na skrzydłach kormoranów

Na skrzydłach kormoranów

Uniosę się

Gdy mała powódź zagraża



Deszcze zimowe

Deszcze zimowe

Na południu

Kreują barwę rzeki



Oznakowania

Oznakowania

Zabawki

Wezbranej rzeki Swan

Australijskie świeczki – haiku

Fotografia: Anna Fiala i Andrzej Fiala

Tekst: Adam Fiala



Żywy płomień, fot. Anna Fiala

Żywy płomień

Australijskiego

Buszu



Ptaszek, fot. Andrzej Fiala

Ptaszek

Wśród suchych traw

Zaprasza do trójki



Węże, fot. Andrzej Fiala

Węże pni

Przytulają się

Do siebie



Australijskie świeczki, fot. Andrzej Fiala

Australijskie

Świeczki

Na choinkę



Łabędź, fot. Anna Fiala

Łabędź

Mizdrzy się

W lustrze wody



Chmurko, fot. Anna Fiala

Chmurko

Odszukaj siebie

W rzece Swan

Portret z kobietami, czyli Paweł Edmund Strzelecki żywy.

Anna Habryn „Portret z kobietami” – sztuka teatralna o polskim podróżniku, geologu i geografie, eksploratorze Australii, Pawle Edmundzie Strzeleckim, zmarłym w 1873 roku w Londynie. Sztuka została wystawiona przez teatr Scena 98 z Perth,

Na podstawie sztuki powstało słuchowisko radiowe p.t. „Dałeś mi marzenie” w reżyserii Joanny Borkowskiej-Surucic, przedstawiona przez teatr Fantazja z Sydney.



Paweł Edmund Strzelecki (Grzegorz Niedźwiadek) i służący Stokes (Wiesław Wójtowicz) w sztuce Anny Habryn.

Leszek Szymański

„Dałeś mi marzenie” to skrócona wersja sztuki Anny Habryn „Portret z kobietami”. To zsyntetyzowana “biografia” Pawła Edmunda Strzeleckiego, bez wątku związanego ze współczesną polemiką na temat ważności zasług Strzeleckiego dla Australii i świata.

A właśnie ta kwestia jest motywem dominującym w oryginalnej sztuce Habryn o Strzeleckim, intrygująco zatytułowanej „Portret z kobietami”.

Portret Pawła Edmunda Strzeleckiego, to portret człowieka o wielkich ambicjach i okrutnie egoistycznego wobec kobiet – orzeka znana australijska pisarka Helen Heney w sztuce Anny Habryn. “Heney” przemawiając ze sceny informuje nas, że właśnie pisze opowieść w imieniu porzuconej Adyny („In a Dark Glass”, 1961, Angus and Robertson, finansowana przez *Australian Literary Fund* [sic]). w której portretuje Pawła Strzeleckiego jako uwodziciela, który oszukał niewinną dziewczynę Adynę, złamał jej serce i zrujnował życie.

Nie mogę w tym miejscu naśladować naszego znakomitego Boya Żeleńskiego, żeby dać pełną analizę historycznego etapu w rozwoju Australii, kiedy to”Hrabia”* Strzelecki przybył do Sydney z Nowej Zelandii. A było to pewnego wietrznego dnia, w kwietniu 1839 roku. Przypomnę tylko, że Australia była w początkowej fazie rozwoju politycznego i ekonomicznego. Większość kraju była niezbadana. W czasie swego stosunkowo krótkiego pobytu w Australii, Strzelecki dokonał niesłychanie dużo: znaleziska paleologiczne, projekty nawodnienia pól Tasmanii, odkrycia złóż rozmaitych surowców, „zdobycie” i nazwanie najwyższego szczytu w Australii imieniem Kościuszki, odkrycie złota, zatajone przez Gubernatora Gippsa i odkrycie

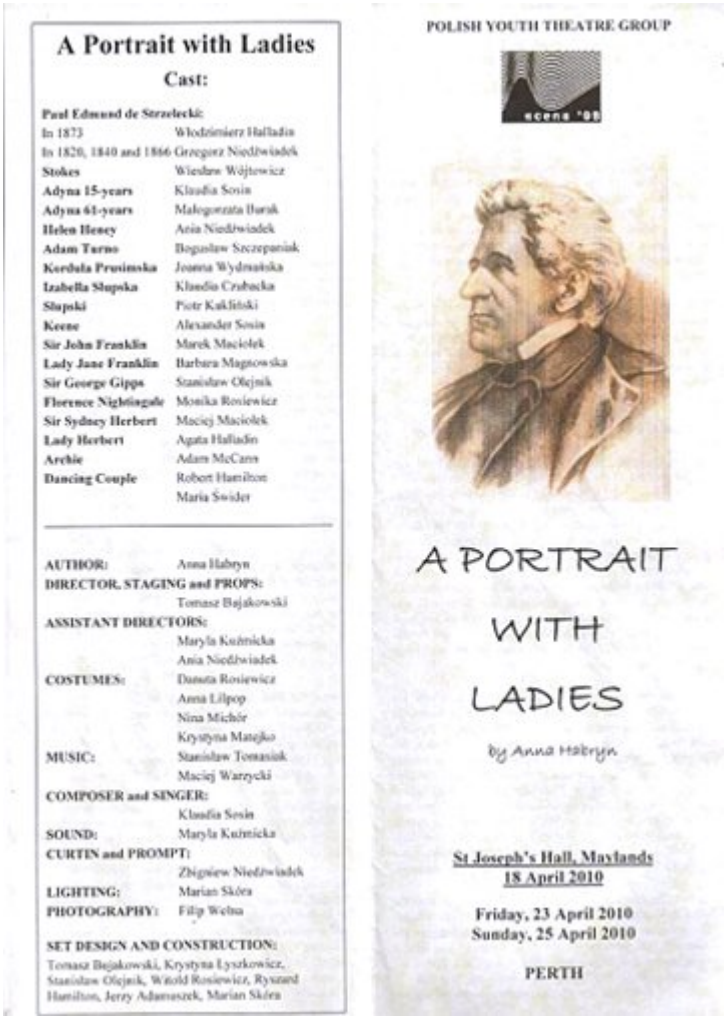
Ziemi, która do dziś dnia nosi imię tego niewdzięcznika… Naukowe dzieło P.E. Strzeleckiego “Physical Description of New South Wales and Vand Diemen’s Land” było przez wiele lat podstawowym podręcznikiem geologii Australii.

Współcześni nie zaprzeczali osiągnięciom Strzeleckiego, który pozostawił po sobie jak najlepsze wrażenie. Pamięć jego była szanowana i uznawana w książkach i podręcznikach, aż do czasów pani Helen Heney, kiedy to, jeśli posłużymy się słowami Adyny w sztuce Anny Habryn, czytelnicy Heney uwierzyli w jej potwarze wobec Strzeleckiego i jego imię zniknęło z podręczników szkolnych oraz strącono go z pomnikowego piedestału, a Heney w ten tani i niegodny sposób zdobyła nowe piórko do swego literackiego kapelusika.

Nie tylko przeciętni czytelnicy uwierzyli rozmaitym kalumniom i nie spostrzegli opuszczeń, pomyłek historycznych i fałszywych interpretacji, ale dali się przekonać i zawodowi historycy, których etycznym obowiązkiem było spostrzec błędy Heney**. Imię Strzeleckiego praktycznie zniknęło z australijskich książek, a co gorsza został on określony przez czołowego australijskiego historyka jako polski awanturnik.

Strzelecki był postacią dość zagadkową, prawie tajemniczą. Najpełniej znanym okresem jego życia, jak można sądzić na podstawie znanych dokumentów, był właśnie jego pobyt w

Australii. Z tego czasu mamy zachowaną część korespondencji z Adyną. Listy Strzeleckiego są w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, listy Adyny zaginęły.



A Portrait with Ladies

Cast:

Paul Edmund de Strzelecki:	
In 1873	Włodzimierz Halladin
In 1820, 1840 and 1866	Grzegorz Niedźwiadek
Stokes	Wiesław Wójtowicz
Adyna 15-years	Klaudia Sosin
Adyna 61-years	Małgorzata Burak
Helen Heney	Ania Niedźwiadek
Adam Turno	Bogusław Szczepaniak
Kordula Prusinska	Joanna Wydrańska
Izabella Slupska	Klaudia Czubacka
Slupski	Piotr Kuklinski
Keene	Alexander Sosin
Sir John Franklin	Marek Maciołek
Lady Jane Franklin	Barbara Magnowska
Sir George Gipps	Stanisław Olejnik
Florence Nightingale	Monika Rosiewicz
Sir Sydney Herbert	Maciej Maciołek
Lady Herbert	Agata Halladin
Archie	Adam McCann
Dancing Couple	Robert Hamilton
	Maria Świder

AUTHOR:	Anna Habryn
DIRECTOR, STAGING and PROPS:	Tomasz Bajakowski
ASSISTANT DIRECTORS:	Maryla Kuźnicka
	Ania Niedźwiadek
COSTUMES:	Danuta Rosiewicz
	Anna Lilpop
	Nina Michór
	Krystyna Matejko
MUSIC:	Stanisław Tomasiak
	Maciej Warzycki
COMPOSER and SINGER:	Klaudia Sosin
SOUND:	Maryla Kuźnicka
CURTIN and PROMPT:	Zbigniew Niedźwiadek
LIGHTING:	Marian Skóra
PHOTOGRAPHY:	Filip Wełna

SET DESIGN AND CONSTRUCTION:
Tomasz Bajakowski, Krystyna Łyszkowicz, Stanisław Olejnik, Witold Rosiewicz, Ryszard Hamilton, Jerzy Adamaszek, Marian Skóra

POLISH YOUTH THEATRE GROUP

scena '88

A PORTRAIT WITH LADIES

by Anna Habryn

St Joseph's Hall, Maylands
18 April 2010

Friday, 23 April 2010
Sunday, 25 April 2010

PERTH

Historia Adyny Turno to romans z 15-letnią dziewczyną i – jak głosi plotka – usiłowanie porwania. Historia dająca się porównać do historii innego Edwarda znanego w historii Australii (Wakefielda), który wylądował w więzieniu za porwanie pewnej dziedziczki fortuny, jak się dziwnie składa również piętnastoletniej. Tylko, że miłość Pawła i Adyny nie miała podłoża materialnego, bo dziewczyna była biedna niczym mysz kościelna. No i Strzelecki, choć stracił reputację i narobił sobie kłopotów, nie wylądował w więzieniu. Ostatecznie uzyskał posadę administratora majątków Księcia Eustachego Sapiechy. Po jego śmierci zdobywszy wystarczające fundusze znalazł się w Anglii i po licznych i długich podróżach w Australii, gdzie choć nie zdobył majątku, rozsławił swe imię.

Sztuka Habryn została napisana w 2009 roku i po raz pierwszy wystawiona przez polską grupę teatralną Scena 98 z Perth, która rok później wystąpiła z tym przedstawieniem (w reżyserii Tomasza Bujakowskiego) w konsulacie i ambasadzie PR oraz w kilku polonijnych klubach w Melbourne i Sydney.

Jest to sztuka niezwykła, w trzech aktach, pełna retrospekcji. W pewnym sensie przypomina komedię Luigi Pirandello „Sześć Postaci w poszukiwaniu Autora".

Habryn określa swą sztukę jako niezupełnie poważną, mając chyba na myśli wprowadzenie piosenek śpiewanych przez głównych bohaterów. Te śpiewane komentarze spełniają podwójną rolę: służą jako expose dla postaci i są jednocześnie momentem odprężenia w jednak poważnej choć nie ponurej atmosferze utworu, który zaczyna się na łożu śmierci Pawła Strzeleckiego i kończy jego zgonem. Mimo tego cienia śmierci i braku formalnej fabuły, akcja toczy się wartko, zapewniając dramatyczne napięcie. Zaskakując czasami.

Dążenie do sławy, chęć zdobycia majątku, obowiązek wobec ludzkości, co nim kierowało? Złożoność przyczyn jakie nadają kierunek życia wielkim ludziom? Ostateczny sens jaki usiłujemy nadać naszej egzystencji? Habryn nie daje nam definitywnej odpowiedzi, ba, nie wkłada definitywnej wypowiedzi w usta Strzeleckiego, który do końca sztuki pozostaje postacią

zagadkową, wielowymiarową.

Kobiety w portrecie Strzeleckiego to przede wszystkim Adyna, dwie późniejsze znajome: Lady Herbert i Florence Nightingale, a także protagonistka Helen Heney.

Występuje też w sztuce Lady Jane Franklin mecenaska kultury i nauki, żona gubernatora Johna Franklina, sławnego wtedy zdobywcy Arktyki, która opiekowała się Strzeleckim podczas jego pobytu na Tasmanii. Pojawia się ona też później w Londynie, informując Strzeleckiego o śmierci jego przyjaciela Johna Franklina. Stali się na Tasmanii bliskimi przyjaciółmi i Strzelecki nawet chciał objąć komendę statku wyruszającego na poszukiwanie zagubionego wśród lodów Franklina.

Zainteresowanie sprawą polską słynnej Florence Nightingale i finansową pomoc dla ofiar powstania, możemy na pewno przypisać Strzeleckiemu (chociaż o tym w sztuce nie ma wzmianki).

Autorka zręcznie daje do zrozumienia, że Strzelecki w Londynie znał wpływowe i znakomite osoby, nie zapomina też o jego świetnej organizatorskiej i filantropijnej działalności podczas Irlandzkiego Wielkiego Głodu Ziemniaczanego. Wszystko to bez obciążania akcji żmudnymi opisami.

Najważniejszą z portretowanych kobiet jest Adyna, która oczywiście wpłynęła na życie Strzeleckiego, i do której miłość, choć wyglądała romantycznie z kwiatkiem z góry Kościuszki, może ochłodła pod wpływem doświadczeń życiowych i upływu czasu? A może ta 15-letnia Adyna, w której zakochał się 23-letni Paweł istniała tylko w tym okresie, a później już tylko w jego wyobraźni, a zwłaszcza w listach? I drugiej Adyny nie mógł znaleźć?



Anna Habryn po spektaklu w rozmowie z odtwórcą roli Pawła Edmunda Strzeleckiego,

Włodzimierzem Halladinem.

Bo ostatecznie, choć Pawłowi mogły grozić konsekwencje za dezercję z wojska pruskiego, prawdopodobnie by mu to wybaczono tak jak i Ludwikowi Leichardtowi. Tak, że mógłby ryzykować wizytę w Poznańskim. Na tym miejscu warto zauważyć, że prawie rówieśnik Strzeleckiego Prusak Leichardt, którego osiągnięcia są znacznie mniejsze niż Strzeleckiego, cieszy się pełnym uznaniem historyków, ma liczne biografie i stał się bohaterem popularnej powieści Patricka White'a „Voss".

Nieprzyjemnie licytować się, kto miał większe osiągnięcia i komu należy się wyższe miejsce na piedestale, ale skoro pani Heney skutecznie ściągnęła naszego bohatera z cokołu, warto się zastanowić nad nienaruszoną reputacją Leichardta. Ale wracając do tematu; Adyna bez większych trudności mogła podróżować do Londynu – gdyby oboje chcieli, zamiast spotykać się po latach w Szwajcarii, co prawda nie jako zgrzybiała para, jak ich określił Zygmunt Nowakowski, ale zdecydowanie już nie pierwszej młodości.

"Helen" w sztuce „Portret z kobietami" nabiera życia i możemy współczuć jej nieszczęśliwej miłości do polskiego oficera, ale prawdziwej Heney nie da się wybaczyć złośliwości wobec

Strzeleckiego (nawet jej wzmianka w autorytatywnym australijskim Słowniku Biograficznym, choć wierna faktograficznie, jest utrzymana w nieprzychylnym, lekceważącym tonie i prawdopodobniej bardziej skuteczna dla umniejszenia naszego bohatera we współczesnej historiografii australijskiej i niestety ogólnym odbiorze niż jej książka).

Gdy ukazał się paszkwil Helen Heney, nikt nie dał jej odprawy. Wacław Słabczyński, dyrektor Biblioteki Narodowej, redaktor dzieł Strzeleckiego, autor jego popularnej biografii – milczał.

Biografia Pawła Edmunda Strzeleckiego pióra Lecha Paszkowskiego, znakomitego historyka, autora epokowego dzieła „Polacy w Australii i Oceanii", ukazała się dopiero w 1997 roku, i choć rzetelna i głęboka, jest niestety walką z cieniem.

Helen Heney słusznie odeszła w zapomnienie, choć efekt jej kreciej roboty trwa do dziś dnia. Przeciętny czytelnik biografii „Sir Paul Edmund de Strzelecki", nie mając pod ręka „Through the Dark Mirror", nie orientuje się, z czym Lech Paszkowski polemizuje i co go tak słusznie oburza. No i zwykle brak temu czytelnikowi głębszej wiedzy historycznej, by osądzić, kto miał rację.



Zespół teatru Scena 98 z Perth po spektaklu „Portret z kobietami”, 2011 r., fot. Anna Habryn.

Natomiast sztuka Habryn dociera skutecznie do widza i czytelnika, nadając życie cieniom i docierając tam, gdzie uczone dzieła nie dotrą. I powinna być udostępniona nie tylko Polonii, lecz i widzom w Polsce.

Poza wszelkimi innymi zaletami, których nie można przecenić, jak intuicja historyczna i literacka, plastyczność postaci, ich realizm uchwycony pociągnięciem piórka, humorem, jędrnym językiem, sztuka jest dostosowana do poziomu odbiorcy, dając mu podstawowe wiadomości i jednak coś do myślenia, każąc się zastanowić, kim był właściwie nasz bohater i co chciał osiągnąć w życiu. I zarazem dając znacznie więcej dyskusyjnego materiału

widzom o głębokiej znajomości historii Australii i Anglii.

_____

* Strzelecki nie używał tytułu hrabiowskiego, ale nie protestował. Otwierało mu to wiele drzwi.

** Niżej podpisany w owym okresie wiedział zbyt mało o P.E. Strzeleckim by zabierać głos. Lech Paszkowski był również stosunkowo mało znany, ale Wacław Słabczyński i Jerzy Zubrzycki byli postaciami znanymi międzynarodowo.

*** Pesymistycznie zakładam, że tym czytelnikiem jest osoba polskiego pochodzenia, gdyż książka Lecha Paszkowskiego nie jest skierowana do anglosaskiego odbiorcy.

_____

Leszek Szymanski (historyk, pisarz polsko/australijskii, m.in. autor "Kazimierz Pulaski in America, a monograph"), postać znana z historii literatury polskiej jako założyciel i pierwszy redaktor niezależnego czasopisma literackiego „Współczesność", były współpracownik „Wiadomości Polskich" i radia SBS w Sydney oraz pism w Anglii i USA, mieszka obecnie w Kalifornii.

Anna Habryn, pisząca po polsku i angielsku autorka powieści

„Miłość po szkocku” (drukowanej w odcinkach „Liście oceanicznym – dodatku kulturalnym „Gazety” w Toronto oraz na stronie Culture Avenue), pięciu tomików wierszy i sześciu sztuk teatralnych, mieszka w Perth, WA.

zobacz też: http://mtkosciuszko.org.au

Poranek na bagnach – haiku

Fotografie: Anna Fiala

Tekst: Adam Fiala



Poranek na bagnach

Ma swój rytuał

Ciszę wzbogacają ptaki



Niby pchły

Maleńkie kangury

Skaczą w zieleni wzgórz



> One ze sobą konkurują
>
> Która kałuża

> Więcej odbija obrazu nieba



> O wschodzie słońca

> Chmura zwraca się do nas
>
> Swą okrągłą twarzą



> Ja idę do przodu
>
> Ty idziesz do tyłu
>
> Podświetloną słońcem plażą



> Krwotok nieba
>
> Niegroźny
>
> Bo tworzą go chmury



Niebo także

Ma swoją

Baletnicę

Miłość po szkocku. Marsz kombatantów.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny

w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. Mary jest postacią autentyczną.



fot. ShutterStock

Anna Habryn

Rozdział 7

– Mandy, wróciłam. Przyjdziecie z Peterem na obiad w sobotę? Opowiem wam o Polsce. Tak, byłam w Polsce! Oczywiście, że sama. I nic mi się nie stało. Było cudownie…. Widziałaś może Jana? Jak to, mój brat ci nie pozwolił? Nikt nie może się z Janem widywać?! Ależ, coś z tym trzeba zrobić!

Usłyszała w odpowiedzi:

– Mamo, daj spokój. To beznadziejne.

Mary ściskała w ręce aparat fotograficzny i trzęsła się z emocji. Wysiadła z samochodu i ruszyła niezbyt szybko w stronę domu. Nie wyróżniał się niczym specjalnym. Żywego ducha dookoła. Weszła na ganek. Zadzwoniła. Cisza. Zapukała. Nikogo. Zajrzała przez szybę do środka. Pustka, ciemność. A przecież tam był, Jan musiał tam być. Christine mówiła jej, że Jan nie rusza się z pokoju. Chodzi tylko po domu, a i to z trudem.

– Janie! – krzyknęła. Nikt nie odpowiedział. – Janie, byłam w Poznaniu, u Seweryny! Mam dla ciebie prezenty!

Cisza. Mary poczuła, że płacze. Z bezsilności, z żalu. Nie mogła z nim porozmawiać, a jej listy wracały do niej nie otwarte. To już pół roku, jak Charles zabrał Jana do siebie. Odebrał go jej. Był

jego prawnym opiekunem – nic nie mogła zrobić.

Christine, albo któraś z jej koleżanek z *Silver Chain* odwiedzała Jana co drugi dzień. Mówiła, że Charlesa nigdy nie ma w domu, a Jana nikt poza nimi nie widuje.

– Janie! – zawołała jeszcze raz. Nic. Wiedziała, że tam jest. Siedzi sam, w półmroku. A może patrzy na nią z głębi pokoju. Boi się!?

Zawróciła, płacząc z rozczarowania. (…)

Medale przysłano z Londynu na adres Mary. Zabrała je do sklepu z militariami i zamówiła specjalną, elegancką kasetkę, oszkloną, do przechowywania i eksponowania odznaczeń. Była śliczna i droga, ale cóż z jej trudów, skoro nie mogła przekazać medali Janowi. Nie miała wstępu do domu jego opiekuna. Kogo prosić o pomoc?

Zwróciła się do Georga. Powiedział jej:

– Nie wiem, czy to coś pomoże, ale jest tu Związek Kombatantów. Zadzwoń do ich prezesa, tu masz jego telefon.

Kiedyś George opowiadał jej o swoich skomplikowanych losach. Był więziony w rosyjskim łagrze, jego żona i dzieci pomarły z głodu. Na Syberii nie było co jeść. Wytłumaczył jej, że podczas

ciężkiego oblężenia Leningradu przez Niemców, Rosja zgodziła się utworzyć polskie wojsko z uwięzionych przez nią polskich żołnierzy, pod warunkiem, że będą się oni bić z Niemcami. George wyszedł ze Związku Radzieckiego razem z armią generała Andersa i potem walczył w Anglii jako pilot myśliwca. Brał udział w bitwach powietrznych. Przeżył wojnę i przyjechał z transportem byłych żołnierzy z Anglii do Perth. Ożenił się tutaj, jego żona była piękną kobietą. Żyli dostatnio, George uczył na uniwersytecie, bo to był przecież jego przedwojenny zawód… Mary oglądała kiedyś jego medale za zasługi wojenne.

– Nie należysz do kombatantów? – zapytała teraz zdziwiona.

– Należę. Formalnie należę – powiedział i uśmiechnął się. – Ale to dla mnie nie najważniejsze w życiu. I lepiej, żebyś się z prezesem skontaktowała sama.

– Nie najważniejsze? – Zastanowiła się sekundę i zdecydowała drążyć temat do końca. Może dowie się wreszcie prawdy o tym, co czuje prawdziwy bohater, bo przecież kto jak kto, ale George był bohaterem.

– Co jest w życiu najważniejsze?

Podniósł brwi w górę.

– No, czym naprawdę się szczycisz, z czego jesteś najbardziej dumny, George?

Myślał chwilę, a potem powiedział:

– Nigdy w życiu nie jadłem darowanego chleba.

I nie wyjaśnił jej nic więcej.

Wieczorem zadzwoniła do Prezesa Koła Kombatantów. Zaprosił ją do udziału w zbliżającej się paradzie z okazji *Anzac Day*, w imieniu Jana.

– Ale to są brytyjskie medale, nie polskie…

– Nie szkodzi. W ten sposób pomoże pani zaakcentować udział Polaków w II Wojnie Światowej i ich zasługi dla ostatecznego zwycięstwa Aliantów – powiedział.

Zastanowiła się chwilę, a potem stwierdziła radośnie:

– Ma pan rację. Mój ojczym jest chyba jedynym żyjącym jeszcze w Australii polskim marynarzem. A kto wie, czy nie jedynym z tych, co podczas wojny pływali na *Błyskawicy*.

– No, widzi pani. Warto pokazać jego medale.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki)

Anzac Day przypada 25 kwietnia. Mary miała nadzieję, że starczy jej sił na kilkukilometrowy marsz. Ale przecież, skoro będą tam szli z nią ludzie 75-80-letni, to i ona wytrzyma. Podobała jej się myśl, że będzie reprezentować Jana w marszu ku czci Wolności.

Stawili się na miejsce wcześnie. Pogoda była, jak zawsze wczesną jesienią, piękna. Mary ubrała się w granatowy kostium, jedyny w jej garderobie, który nieco przypominać mógł mundur. Tony pomógł jej przypiąć medale na właściwym miejscu. Przydałby się beret, ale tak, pójdzie z gołą głową.

Mary czuła się niepewnie, kiedy szukała w tłumie polskiej grupy.

Stali pod biało-czerwonym sztandarem, chyba ze dwadzieścia osób. “To i tak cud, że jest ich ciągle tylu”, pomyślała. Sami mężczyźni. Znalazła prezesa, z którym rozmawiała przez telefon. Był to niewysoki, ale przystojny siwy pan z orlim nosem. Przedstawił ją wszystkim. Czuła się jak królowa, kiedy każdy z nich po kolei całował ją w rękę pochylając się nisko. Starzy, dumni mężczyźni. A potem, kiedy stała tak razem z nimi, poczuła się, jakby popełniła nadużycie. Bo co ona sama zrobiła dla pokoju na świecie? Nic. Tyle, że korzysta z niego, jest częścią tego świata, który oni stworzyli, ci dzielni ludzie dookoła. Rozmawiali z nią przyjaźnie, opowiadali o sobie, pytali o jej ojca czyli o Jana. Któryś powiedział:

– Gdybym nie słyszał, jak pani mówi, pomyślałbym, że jest pani Polką.

Uznała to za największy komplement. Wygląda jak jedna z nich, jakby była na swoim miejscu.

Tłum ruszył, najpierw powoli, a potem już marszowym krokiem. Mary nigdy przedtem nie maszerowała po wojskowemu. To nie było wcale takie proste. Mężczyzna idący przed nią wydawał się tańczyć, tańczyły jego dłonie i Mary tak się zapatrzyła, że zgubiła krok. Ktoś z tyłu podał rytm: “Lewa, lewa…” Spłoszona, wyrównała szybko.

Popatrzyła w twarze tych idących obok: uśmiechali się jak ludzie szczęśliwi.

– Była pani w Warszawie? – zapytał jeden z lewej strony. Potwierdziła.

– A ja, widzi pani, nie byłem. Po wojnie nie byłem w Polsce. Jak tam jest?

Zaczęła mu pokrótce opowiadać i zanim marsz się skończył, czuła, że jest jedną z nich, zaakceptowana, swoja, cenna.

Stojąca gdzieś z boku orkiestra kobziarzy przypomniała jej, że jest Szkotką. Dumna, wyprostowała się jeszcze bardziej. Zobaczyła Tony`ego na chodniku, z jego kamerą, ale nie pomachała mu. Starała się utrzymać równy krok. Uśmiechnęła się tylko.

– W prawo patrz! – zakomenderował dowódca tego małego oddziału, którego była częścią. Zwróciła głowę w prawo i posłała uśmiech Gubernatorowi i Premierowi.

A w kilka minut później było już po wszystkim. Uścisnęła znów wszystkie dłonie powtarzając po polsku: “Dziękuję, dziękuję”. Mówili jej, że im było miło, a ona im, że to dla niej zaszczyt.

Po paradzie zapakowała medale razem z kasetką w paczkę i wysłała przez pocztę, przesyłką poleconą, do odebrania przez pana Jana Rogackiego, do rąk własnych.

Charlie usiłował przekonać listonosza:

– Tu nie mieszka żaden pan Rogacki. Ten pan nazywa się Wilson!

Ale Jan w końcu podpisał dowód odbioru przesyłki swoim prawdziwym nazwiskiem.

Zobaczyła Jana dopiero w dwa dni po tym, jak przywieziono go ze szpitala, gdzie był operowany, do domu starców o nazwie "Złota jesień". Tu odtąd miał mieszkać.

Oczywiście, zawiadomiła ją Christine, nie Charlie.

– Złamał biodro – powiedziała.

– Jak?

– Pewnie upadł. Mnie przy tym nie było.



Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki) w domu opieki, na uroczystości wręczenia medali. Mary stoi za Janem.

Jan siedział przywiązany do krzesła, odurzony środkami przeciwbólowymi. Siwy starzec, wychudły, z długimi włosami, z paznokciami zawijającymi się jak szpony, nie przypominał tego człowieka, którego widziała kilka miesięcy wcześniej chodzącego po ogrodzie, który czytał książki i przełączał kanały telewizyjne w poszukiwaniu jakiegoś filmu.

Powiedziała do Tony`ego:

– Widzisz? Sprzedał jego dom i miał się nim opiekować. On nie potrafi się opiekować nikim, nawet sobą!

Obudziła się jak zwykle nad ranem, jeszcze nim ptaki zaczęły śpiewać – i leżała cicho w ciemności.

Wczoraj spędziłam z Janem cały dzień. Dlaczego on musi tak cierpieć? On godzi się pokornie ze wszystkim. Ale przecież nie powinien się znajdować w tym strasznym miejscu.

Charlie wybrał ten dom starców tylko dlatego, że jest ode mnie bardzo daleko. Myślał, że nie będzie mi się chciało jeździć do Jana. Ale bardzo się pomylił. Nie zna mnie. Biedny Jan cierpi dlatego, że mój brat mnie źle ocenił. Wiem, jest i inna przyczyna: im mniej wyda na Jana, tym więcej zostanie dla niego. Przynajmniej on tak myśli.

Numer pokoju Jana, 13, wywołał u Mary gorzki uśmiech. Zawsze wierzyła w szczęśliwą trzynastkę, aż do dziś.

Była pora lunchu. Jan siedział grzecznie przy stoliku i… spał.

“Biedaku – pomyślała Mary – siedzisz tu jak stary ptak w klatce i czekasz, żeby cię nakarmiono. Tu można tylko umrzeć, a nie wrócić do życia.”

Objęła go ramionami. Spojrzał na nią przytomnie:

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

Mary wyjęła z kasetki spoczywającej w szufladzie i przypięła mu do koszuli wszystkie medale. Uśmiechnął się, kiedy mu zasalutowała.

Przez korytarzyki wypełnione stęchłym odorem starych ludzi powieźli go, w jego fotelu na kółkach, do sali ogólnej, dużej bawialni z masą różnych krzesełek ustawionych rzędem pod ścianami i z telewizorem w rogu. Było tu więcej światła i trochę roślin w donicach.

Pojawiła się pielęgniarka Grace, drobna blondynka, która była Polką, popychając na wózku jakąś staruszkę. Powiedziała:

– Cześć, Mary, twój ojciec mówił dziś o tobie.

"Cud, pomyślała Mary, po raz pierwszy uznano mnie tu za córkę Jana! Formalnie i oficjalnie, no, no."

– Jak rozmawialiście? Po polsku? – zapytała. Grace w końcu była zatrudniona tu, żeby rozmawiać w rodzinnym języku z pacjentami takimi, jak Jan. W tym domu mieszkało kilku Polaków.

Grace pokręciła głową przecząco:

– Nie, on nie chce mówić po polsku. Nawet mnie to dziwi.

Rozumie mnie, a zachowuje się tak, jakby chciał mnie powstrzymać, żebym do niego nie mówiła po polsku.

Mary poczuła ucisk w sercu.

– Mów do niego. On się boi. Myśli, że to coś złego. Jego opiekun nie zachęca go do mówienia po polsku. Nie chce uznać, że jego ojciec jest Polakiem. A on nie nazywa się James Wilson, tylko Jan Rogacki.

Grace zakręciła się przed Janem na palcach, zanuciła wysokim głosem coś wesołego, Mary nie zrozumiała słów, ale Jan się wyraźnie roześmiał! A potem mrugnęła do nich jeszcze raz i zniknęła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

Mary bywała u Jana raz na tydzień, we wtorek. Przyjeżdżała po śniadaniu. Siadała z nim na werandzie, albo zabierała go na spacer, pchając jego wózek dookoła domu.

Żałowała, że nie może mu szczerze powiedzieć tego, co myśli. A myślała mniej więcej tak:

“Biedny Janie, siedzisz tu jak orzeł oskubany z piór. Jesteś tam, gdzie wsadził cię Charlie. Gdzieś na drodze życia zagubiłeś swoją dumę. Ale wierzę, że jak zobaczysz, że Polska o tobie pamięta, jak dostaniesz polskie medale… Janie, będziesz jeszcze dumny!”

Miłość po szkocku. W Poznaniu.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica". Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda

sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Poznańskie Stare Miasto

Anna Habryn

Rozdział 6

Poznań był zupełnie inny niż Warszawa. Stary, dziewiętnastowieczny. Wojna go widać nie zniszczyła. Wyglądał jak Chicago: miał szerokie ulice, małe, stare domy stały ciągle

wzdłuż ruchliwych głównych arterii, a na jezdniach królował raczej transport publiczny, jak Mary miała się przekonać, dobrze działający i tani.

Niektóre ulice, z zieleńcami przy blokach mieszkalnych, z pralniami z boku, przypominały czynszowe kamienice Glasgow, tyle, że tutaj wszystkie mieszkania miały balkony, metr na dwa, niektóre wystawiające na pokaz obfitość kwiatów, inne z praniem udrapowanym na balustradach. Niższe balkony otoczone bywały drutem kolczastym, jak powiedziała jej później Seweryna, siotra Jana, przeciwko włamywaczom. Psów była masa, ale wszystkie w kagańcach. Kwiaty były wszędzie, na każdym rogu uliczni handlarze sprzedawali kwiaty. I – nie wiadomo dlaczego – sprzedawali też świece wszystkich kształtów i rozmiarów. Wszystko to Mary notowała sobie w myślach, żeby opowiedzieć Janowi. Zresztą, zanim mogła rozejrzeć się lepiej, była na miejscu.

Taksówka zatrzymała się przed wielkim blokiem. Mary wzniosła właśnie oczy ku niebu: – jak na litość boską mam znaleźć właściwe mieszkanie?, kiedy od strony kierowcy pojawiła się wysoka, szczupła kobieta, zadała jakieś pytanie, szofer odpowiedział: “tak, tak”, i wtedy Mary zobaczyła ją, Sewerynę. Duża, przystojna, choć niemłoda blondyna objęła ją ramionami powtarzając: *“Mari, Mari”.*

– Udało mi się! – prawie nie mogła uwierzyć.

Szczupła pani to była Dorota, sąsiadka, która mówiła po angielsku. Niestety, mogła pozostać z nimi tylko dwie godziny, odlatywała bowiem do Londynu, w interesach.

– Proszę, witaj w moim domu – powiedziała Seweryna.

Proszę i *dom* Mary zrozumiała, *witaj* będzie musiała sprawdzić później w swojej biblii – słowniku, który stale ściskała w garści niby paszport.

Dom Seweryny zapraszał, stół był zastawiony, były kwiaty i świece, wino i lśniące kieliszki. Było gorąco, może ze 30 stopni, toteż duże okna były otwarte i prezentowały całą piękną wystawę kwitnących w skrzynkach kwiatów. Salonik był przytulny. Na podłodze leżał bogaty, czerwony dywan. Ładna, duża szklana szafa z solidnego drzewa pyszniła się skarbami całego życia gospodarzy. W oknach wisiały piękne koronkowe firanki, a nakrycia poduszek na sofie były robione szydełkiem, tak samo jak śliczny koronkowy sweterek, w który była ubrana gospodyni. Mary rozejrzała się po ścianach: wszędzie reprodukcje świętych obrazów, szczególnie eksponowany papież Jan Paweł II.

Kuchnia była malutka, ale urządzona starannie, pełna słoików z przetworami. Mary poznała wypłowiały ręczniczek z kangurem,

wiszący na ścianie – to był podarunek od Jana, sama go kiedyś wybierała w sklepie.

Do sypialni Seweryny wchodziło się z kuchni. Sypialnia była dosyć duża, ale gdyby nie olbrzymie drewniane szafy, byłoby tu jeszcze jakieś dwa metry przestrzeni ekstra. Toaleta była oddzielona od łazienki. Mary zadecydowała, że od tej chwili będzie jej się podobało wszystko, bo czuła się swojsko i to było najważniejsze.

Otworzyła swoją torbę z podarunkami ze Szkocji. Nie miała w niej nic z Australii, bo w Australii nie myślała jeszcze o wizycie w Polsce. Przywiozła więc Sewerynie kruche ciasteczka, tradycyjne szkockie herbatniki, figurkę Potwora z Loch Ness. Wyciągnęła też szal w szkocką kratę i owinęła gospodyni dookoła szyi mówiąc: “zima”. O, Mary znała nazwy pór roku i dni tygodnia po polsku, umiała też liczyć do dziesięciu, toteż jeśli zdarzyło jej się znać jakieś słowo, używała go z radością i bez względu na gramatykę. Seweryna – niestety – nie chciała próbować angielskiego, a szkoda, bo wiele słów było całkiem łatwych, podobnych w obu językach.

– Kawa, herbata?

Seweryna miała piękną opaleniznę, w złotym odcieniu, żadnego makijażu. W jej włosach, teraz siwych, przebijały pasma

naturalnego koloru blond. Była postawną kobietą, i zachowywała się całkiem jak Jan, ruchy jej oczu i rąk były podobne. Mary aż trudno było uwierzyć, że upłynęło 59 lat, od kiedy Seweryna ostatni raz widziała swojego brata. Można by pomyśleć, że przeszli przez życie razem. Mary widziała kiedyś jej fotografię jako kilkunastoletniej dziewczyny, Seweryna była wtedy piękna. Zostać wywiezioną do Niemiec w wieku czternastu lat, to musiał być dla niej koszmar, dla jej matki też. Ale nie chciała wiele mówić o latach wojny. Powiedziała, że Rosjanie byli tak samo źli, potem temat został zaniechany.

Krzątając się po kuchni przy kolacji, Seweryna widocznie była szczęśliwa, bo śpiewała.

– Janek *syng*?

– Nie, nie, *just* „Marsz, marsz Dąbrowski”.

Seweryna roześmiała się.

– Janek taniec?

– Nie, nie, *Severina*.



Władysław Kolecki – pierwowzór Jana Rogackiego, bohatera powieści Anny Habryn „Miłość po szkocku” i jego pasierbica Mary, Perth, Australia.

Polska kolacja była za ciężka na jej żołądek. Kawa miała smak piasku, herbata była słaba, wino było smaczne, ale Mary spróbowała tylko trochę i pozostała przy wodzie. Gospodyni była naprawdę dobrą kucharką, jak zwykle Europejczycy, ale już następnego dnia próbowała zmusić Mary do jedzenia trzech posiłków dziennie. Mówiła:

– *Mari* chuda, Seweryna gruba.

Mary wiedziała, że „gruba” znaczy *fat*, a domyśliła się z jej bardzo opisowych gestów, że „chuda” znaczy *thin*. Porozumiewały się jak Robinson Crusoe z Piętaszkiem.

Mieszkanie mieściło się na półpiętrze (Seweryna została pewnie przez władze kwaterunkowe potraktowana ze specjalnymi względami z powodu swojej chorej nogi – myślała Mary) i miała widok na aleję drzew, a dalej na miejscowy park. Przez następne dwa dni Mary spacerowała po nim, albo po prostu siedziała na ławce obserwując zwykłych ludzi, ciężko pracujących, nie bardzo różniących się od ludzi gdziekolwiek indziej na świecie, i dobrze.

Sierpniowe wieczory były ciepłe i pachnące. Łóżkiem Mary była kanapa, która rozkładała się całkiem zmyślnie. Mogła leżąc na niej oglądać telewizję, w której nadawano często angielskie programy, z polskimi napisami. Seweryna pisała wieczorami długie listy do Jana, żeby Mary zabrała je do Australii. Noce były krótkie, mrok zapadał około 10-tej wieczorem.

W piątek po kolacji Seweryna zadzwoniła do swojej starszej siostry Zofii i oznajmiła, że odwiedzą ją jutro, w sobotę, *tomorrow.* Mary nie mogła długo zasnąć. Myślała, że musi jutro wysłać Janowi kartkę z Poznania. O tylu rzeczach chciała mu powiedzieć… Rano Seweryna wstała wcześnie. Poszły po świeży chleb. Pobliskie sklepy były podobne do australijskich, sprzedawały wszystkie niezbędne rzeczy, ale na pewno nie były

nawet w przybliżeniu takie duże, jak australijskie. Bogactwa nie było widać, tak samo jak biedy.

Śniadanie było zawsze dużym posiłkiem, dla biednej Mary niemożliwym do skonsumowania. Seweryna miała dobry apetyt.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, a łóżka pościelone, wyszły w poranne słońce. Przy sobocie centrum Poznania roiło się od ludzi. Jechały dwoma autobusami i obejrzały trochę miasta. Miejscowy targ był interesujący, masa świeżych owoców i jarzyn: czerwona kapusta, buraczki.

Znowu kwiaty, wszędzie sprzedawano śliczne kwiaty, więc kupiła duży bukiet dla Zofii. Seweryna kręciła głową z dezaprobatą na temat wydawania przez Mary pieniędzy. Nie pozwoliła Mary zapłacić za taksówkę na ostatnim etapie ich podróży do Zofii. Mary za to zapłaciła za taksówkę do domu w nocy, wracały bowiem zbyt późno, żeby skakać z autobusu na autobus. Siostry Jana mieszkały w sporej odległości od siebie.

Przyjęcie u Zofii było równie miłe, jak u Seweryny. Jak na jej wiek, była to bystra kobieta, bardzo interesująca, ciągle piękna, z oczami, które wydawały się przewiercać Mary na wskroś. Nie dałaby się nabrać nikomu. Była tam też pani o nazwisku Mary Hoffman, Żydówka, kobieta nieco starsza od Mary, żona lekarza. Mówiła ona dobrze po angielsku i miała być tego dnia ich

tłumaczem. Z Zofią mieszkała również jej pielęgniarka, młoda, ładna kobieta, na imię miała… Zofia. Siadły więc do rozmowy: dwie Zofie i dwie Marie.

To mieszkanie – one na wszystko mówiły „dom” – było bardzo ładnym, drogim apartamentem. Stół znowu uginał się pod potrawami tradycyjnej polskiej kuchni. Była i wiśniówka, którą Mary zaczęła uważać za wódkę tak polską, jak szkocka była whisky.

Mary miała jakieś pamiątkowe drobiazgi również dla Zofii. Dostała w rewanżu polską lalkę w tradycyjnym stroju, łatwą do przewiezienia, śliczny prezent. Od Seweryny miała już podarunki równie piękne: była to paczka dla Jana i dwa kryształowe wazony, jeden dla Mary, drugi dla Mandy. Ten dla Mary był opleciony dookoła wzorem koloru bursztynu.

Młoda Zofia nie umiała po angielsku, ale jej oczy wyrażały wielką radość z obecności gościa. Mary Hoffman zaś powtarzała, jaka to z Mary odważna młoda kobieta. Młoda! – to Mary rozśmieszyło.

– Mam 62 lata! – powiedziała z dumą.

Przez następne kilka godzin zadawały pytania – i opowiadały.

– Zofia była kiedyś bardzo zdolną i przedsiębiorczą kobietą.

Podczas wojny – powiedziała Mary – tłumaczka – Zofia miała swój własny sklep rzeźniczy. Jakoś potrafiła pomagać wielu ludziom, takim jak ja. Pewnie nie możesz sobie wyobrazić, że czasem ratuje się komuś życie dając mu kości i tłuszcz na zupę.

– Mogę sobie wyobrazić – powiedziała Mary.

Dzieci Zofii wszystkie zrobiły zawodową karierę. Seweryna natomiast nigdy nie została pobłogosławiona dziećmi. Jej mąż, chociaż nie znała go jeszcze wtedy, był w ruchu oporu. Nie chciały powiedzieć nic więcej, choć Mary miała nadzieję na jakąś bohaterską opowieść. Wyglądało na to, że nie całkowicie jej ufają. Kiedy zapytała, czy Jan jako chłopiec był „dobrze *boy*", zajęły pozycję obronną. Żadnych żartów, w tej rodzinie zachowywano absolutną lojalność wobec dawno utraconego brata.

Zofia zaskoczyła Mary pytaniem:

– Dlaczego twoja matka nie pozwoliła Jankowi przyjechać do Polski na urlop?

Mary nie miała zamiaru bronić swojej matki, ale chciała pozwolić im myśleć, że Jan był w miarę szczęśliwy w życiu na obczyźnie. Gdyby chciała powiedzieć zupełną prawdę, musiałaby wyznać, że jedyną osobą, która dawała Janowi szczęście, była jego córka,

Sandra.

Ale one były podejrzliwe. Któryś z siostrzeńców Jana odwiedził Adelaide w Południowej Australii 12 lat temu i zadzwonił stamtąd do Sheili prosząc do telefonu Jana. Matka odmówiła, powiedziała, że Jan leży chory, jest starym człowiekiem i nie może jechać na wakacje, a w ogóle są na to za biedni.

Mary przypomniała sobie, że słyszała o tym telefonie. A teraz przyciskano ją do muru. Przecież nie mogła im powiedzieć: moja matka lubiła mieć całkowitą kontrolę nad Janem. Jedyny raz, kiedy jej mąż okazał silną wolę i postawił na swoim, to było wtedy, kiedy na horyzoncie, to znaczy w Londynie, pokazał się jego brat, w 1952 roku. Matka musiała się wtedy ugiąć, rzucić kochanka i wrócić do męża. – Do końca wam tego widać nie wybaczyła. A może też bała się, że Jan znowu zrobi jej jakąś niespodziankę?

Jak im to miała wyjaśnić? Lepiej było uniknąć odpowiedzi i zmienić temat. Na szczęście miała ze sobą kasetę wideo. Jeden z kuzynów w Anglii miał film z Sandrą, zrobiony w 1986 roku, dobry film rodzinny, z kilkoma ujęciami, w których widać było Jana. Mary pożyczyła tę taśmę, żeby rodzina Jana mogła ją obejrzeć.

Przeszły wszystkie do bawialni i siadły przed telewizorem.

Młodsza Zosia wprost nie mogła się doczekać, żeby obejrzeć autentyczne życie w Australii. Na filmie uwieczniono baseny kąpielowe, pokoje do gier ze stołami do bilardu, łodzie… cały ten styl życia naprawdę wydawał się bardzo komfortowy, nie sfilmowano niczego wyglądającego ubogo. Ale starej Zofii, jak wytrawnemu psychologowi, nie umknęło nic. Nie podobał im się brat Mary, Wilson. Był bardzo przystojny, orzekły, podobny do matki, ale nie zachowywał się naturalnie, ani nawet grzecznie: ciągle wpychał swoją twarz przed obiektyw. Matkę też poddały ścisłej analizie, szczególnie kiedy zobaczyły, jak niełaskawie próbuje odepchnąć od siebie Jana. Biedny Janek. Kiedy oglądały te właśnie sceny z Janem, płakały, śmiały się i machały do niego! Wszystko to wydawało się Mary nieco zwariowane, ale przecież oto pierwszy raz w życiu mogły zobaczyć swojego brata w Australii: chodzącego, śmiejącego się, wsiadającego i wysiadającego ze swojego samochodu, z jego piękną córką Sandrą.

Mary była zupełnie szczęśliwa. Wiedziała już, że jej przedsięwzięta bez zastanowienia podróż do Polski miała sens.

Ofiarowała im tę kasetę jako drogocenny podarunek. Powinna była ofiarować im ich brata, a nie tylko jego obraz, ale to była jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, małe zadośćuczynienie za to, że nie pomogła Janowi wcześniej w jego życiu.

Godziny upływały. Zdaje się, że wszystkie cztery były już bardzo zmęczone. Ale wyciągnęły jeszcze rodzinny album ze zdjęciami. Więc Mary zobaczyła matkę Jana, i ojca.

– Podobny jak dwie krople wody – wykrzyknęła, a one się zgodziły. Zobaczyła ich ładny dom na wsi, porządny, ceglany, piętrowy dom. Mieli kilka akrów ziemi, o których Jan opowiadał narzekając, że musiał na nich pracować po przyjściu ze szkoły. Mieli mały sad, gruszki i jabłka, ale głównie warzywa. Ich życie – mówiły – jak życie większości Polaków, zostało wywrócone do góry nogami przez hitlerowców.

Rodzina nie wiedziała, czy Jan żyje czy nie, aż do roku 1947. Kiedy się dowiedziały, że *Błyskawica* wróciła do kraju, były zadowolone, że Jan został w Szkocji, najważniejsze, że żywy i bezpieczny. Mary słuchała, co mówią i czuła, że to wciąż nie była odpowiednia chwila, żeby sugerować im coś przeciwnego. Nie chciała oświecać ich więcej jak tylko mówiąc, że jej matka była samotną kobietą z dwojgiem dzieci. Zapytały, czy ich ojciec zginął w akcji. Nie mogła się pochwalić – w ich życiu nie było bohaterów wojennych – przed Janem!

Chciały dowiedzieć się wszystkiego o 50-ciu latach w jeden wieczór. Mary padała już z wyczerpania, trzeba było zakończyć ten wieczór. Niełatwo było jednak powiedzieć gospodyniom: żegnajcie.

Czuła się zaszczycona, że jest częścią ich życia i że łączy ich ten brat, którego nigdy nie zapomniały, jej polski ojciec. Cichy, poniżany, skromny człowiek, trzymany w izolacji, z daleka od tych niewielu ludzi, których znał i kochał.

Rzeczy miały się zmienić, powoli, ale na pewno. Wierzyła, że ta jej podróż do Polski będzie początkiem tej zmiany.



Poznań

Następnego dnia, niedzieli, Mary oczekiwała z ciekawością. Miały z Seweryną iść do kościoła, a potem na cmentarz. Ale

przedtem były “Wiadomości Poranne”. Seweryna włączyła radio i krzyknęła, wyraźnie wytrącona z równowagi.

– Diana, Diana zabita!

– Nie, musiałam jej nie zrozumieć – pomyślała Mary zupełnie zdezorientowana. Ale nie potrzebowała wyciągać swojej „biblii – słownika”, bo właśnie podawano tę wiadomość w telewizji, a obrazy mówiły same za siebie.

Poczuła, że trzęsie się ze zdenerwowania: jak to się mogło stać? Jak to możliwe, to nie fair! *Cinderella* nie może umrzeć, bajki się po prostu tak nie kończą, prawda? Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Diana bawiła w Paryżu, była chroniona, kochana, bogata, miała wszystko. I zginęła. Mary zaś była w Polsce – i nagle poczuła się niepewnie. Tak chciałaby się wypowiedzieć, wyrazić grozę, po prostu pomówić z kimś!

Kościół był wypełniony po brzegi. Kiedy wierni pogrążeni byli w głębokiej modlitwie, Mary myślała o Williamie i Harrym, synach Diany, a potem modliła się za swoją własną rodzinę, nie wiedzącą, gdzie ich matka przebywa.

Śmierć Diany uprzytomniła jej nagle niebezpieczeństwa, na jakie wszyscy ludzie – i ona też – są w życiu narażeni. Samoloty, pociągi, samochody, wszystko takie kruche.

Nie rozumiała obrządku, ale był on pełen patosu. Trzydziestu chłopców w chórze śpiewało do wtóru takiemu rytuałowi przy ołtarzu, że Mary, zafascynowana, zapomniała na chwilę o wiadomościach ze świata. Seweryna przyjęła komunię. Dookoła przesuwali się ludzie, starzy i bardzo młodzi, Mary badała ich twarze: te starsze miały w sobie coś mizernego, nie głód, ale czujny, błagalny wyraz, jak gdyby ci ludzie ciągle żyli w przeszłości, albo rozpamiętywali jakieś przeżyte okropności ciągle na nowo. Mary była pewna, że to nie był tylko wytwór jej fantazji. Była przekonana, że ich rozumie. Myślała z głębokim współczuciem:

– Nie mają zwyczaju wypowiadać się swobodnie. Przejeżdżający obok samochód policyjny przyprawia ich o niepokój. Minie jeszcze wiele lat, zanim będą wypowiadać się tak, jak my to robimy w Australii. Starzy ludzie zawsze patrzą pod nogi. Na pewno to też pozostało im z przeszłości, kiedy chodzili obawiając się o swoje życie. Takie wyrzeczenia, taki ciężar, znoszenie jednego nieprzyjaciela po drugim, myślę, że trzeba następnego pokolenia, żeby ich rany się zabliźniły.

Wyszły z kościoła, kupiły sobie zimny napój i lody i wsiadły w następny autobus, który zawiózł je na cmentarz. Wyglądało na to, że kiedy ludzie w Polsce wybierają się na piknik, wszyscy idą na cmentarz. Mary żałowała, że nie może zrozumieć napisów na nagrobkach i na tych pomnikach sięgających w niebo. Dużo tu

leżało młodych ludzi, zmarłych w 1986, 87, 90, 91, zapytała, dlaczego?

– Piloci, bum, samolot niedobry – zrozumiała: zła konserwacja, polscy piloci, rosyjskie samoloty.

Mąż i matka Seweryny byli pochowani obok siebie. Grób Stanisławy Rogackiej był skromny w porównaniu z grobem męża Seweryny, ale oba dobrze utrzymane. Mary pomogła kupić kwiaty, Seweryna kupiła świece. Teraz zrozumiała, po co sprzedawano świece.

Seweryna odprawiła zwyczajowy rytuał: najpierw omiotła groby, potem je odkurzyła. Kazała Mary iść po wodę, *water*, po którą idąc trzeba było manewrować ostrożnie i z godnością między grobowcami. Wodę pompowało się ręczną pompą. Cieszyło Mary, że jest częścią tej kultury, i miała świadomość, że uczestniczy w tym jedyny raz w życiu. Więc pompowała tę wodę, jak normalna polska *pani*. Seweryna wylała część wody na groby, umyła je, reszta była potrzebna do kwiatów. Jej mąż nie żył od piętnastu lat, matka od dwudziestu, a groby ciągle były tak szanowane, jakby to wszystko było wczoraj. Kiedyś wyjaśniono Mary, że w Polsce obchodzi się dzień pamięci wszystkich zmarłych, 1-go listopada. Z tego, co widziała w tamtą niedzielę, wynikało, że ludzie w Polsce nigdy nie zapominają, gdzie spoczywają ich bliscy.

Był w Polsce jeden taki obyczaj, który obserwowała z zazdrością: rzucał się w oczy szacunek, jaki młodzi okazywali starszym. Miło było obserwować ich maniery i troskliwość, szczególnie w środkach publicznego transportu. Pomagali starym ludziom chętnie. Mary nigdy nie widziała, żeby młoda osoba siedząca w autobusie nie wstała, jeśli wsiadał jakiś starszy mężczyzna czy kobieta. Wydawało jej się, że to nie tylko dobre maniery, ale uczciwy, prawdziwy szacunek dla starszych, coś z czym się nie spotkała nigdzie indziej na świecie.

Nie widziała dookoła żadnych licznych rodzin. Dwoje lub troje dzieci wydawało się właściwą liczbą. W polskiej sytuacji kontrola urodzin musi być sprawą dramatyczną dla dobrych katolików. Bo to jest świat katolicki. Na papieża Jana Pawła II patrzy się jak na zbawcę Polski, a następny z kolei jest Lech Wałęsa, laureat nagrody Nobla, ojciec całej gromady dzieci.

Jechały przez peryferie Poznania, bezbarwne, miejskie dzielnice. Getta czynszowych budynków, identyczne egzemplarze cementowych bloków. – W Glasgow – przypomniała sobie Mary – próbowano tego po wojnie, ale dwadzieścia lat później zaczęto to burzyć. Ludzie chcieli od życia więcej, emigrowali do Kanady i Australii, które obiecywały przestrzeń i radość życia. Ktoś wkrótce położy kres tym potwornościom budowlanym. Widać przecież, że ludzie tu czynią wysiłki, żeby wprowadzić w swoje życie naturę: parki, drzewa, kwiaty. Jakoś w końcu urozmaicą

monotonię tych wysokościowców.

W tę niedzielę Seweryna zabrała Mary jeszcze do Ratusza, wspaniałego budynku stojącego na kwadratowym placu, brukowanym kamieniami i podobnym do placów Edynburga albo Paryża. Zdobiły go stragany kwiatów. Turyści i miejscowi, wszyscy zgromadzili się, żeby oglądać, jak zegar na wieży wybija godzinę dwunastą. Z wybiciem zegara, w środkowej z trzech wieżyczek wyłoniły się dwa drewniane koziołki, skinęły tłumowi w dole, zwróciły się ku sobie, stuknęły rogami, raz, drugi, trzeci…. Ludzie głośno liczyli uderzenia. To przedstawienie trwało niecałą minutę. Dzieci się śmiały, trzaskały aparaty fotograficzne.

W poniedziałek Mary powiedziała Sewerynie:

– Nie, nie *more cooking* – dosyć gotowania. Zrozumiała.

W jakiejś pełnej urzędów dzielnicy Poznania znalazły miłą restaurację. Mary zamówiła "ryba", bo wiedziała, że to *fish*, Seweryna zjadła to samo, z sałatą, obie piły też polskie piwo. Owszem, było dobre. Kelner oczywiście również usłyszał całą historię o Mary. Ręce Seweryny były bardzo wymowne, jak u Włochów, Mary zafascynowana obserwowała ich gestykulację. Była pewna, że stanowiły śmieszną parę, kiedy tak machały rękami, pokazując sobie to lub tamto. Wróciły do domu o

czwartej po południu. To tutejsze lato przypominało australijskie. Było ciągle gorąco i ani kropli deszczu. Mary wyciągnęła się na kanapie, a Seweryna poszła do kuchni. Niespokojna, po kilkunastu minutach Mary zajrzała do niej i… nie wierzyła własnym oczom: Seweryna zaczęła przygotowywać następny, wieczorny posiłek! Nie było na nią rady. Zdesperowana, usiłując spalić nieco kalorii, Mary zasugerowała miły, wolny spacer.

Seweryna podpierała się laską. Jej prawa noga była wiele razy operowana z powodu gruźlicy kości. W 1948 r. Jan posłał jej przez Czerwony Krzyż trochę penicyliny i ten antybiotyk uratował jej nogę. Dlatego czuli się jeszcze bardziej związani ze sobą. Jej miłość do niego była zresztą zawsze silna, podobno od dzieciństwa.

Było bardzo późne popołudnie. Młode matki pchały wózki ze swoimi dziećmi, a dzieciaki wszystkie wyglądały krzepkie i bardzo zadbane. Parki były pełne ludzi, młodych i starych, cieszących się tropikalną pogodą. Wracając mijały bardzo ładne, staroświeckie domy z wysokimi dachami. Ich drewniane drzwi z zasuwami były otwarte, żeby wpuścić nieco świeżego wieczornego powietrza. W ładnych ogrodach warzywnych, jabłonie i grusze sypały owoce na ścieżki. (…)

Wróciwszy do domu, Seweryna zagotowała i zabutelkowała owoce i odstawiła je na zimę, aby nic się nie zmarnowało. Mary

patrząc na to pomyślała o Szkotach. To oszczędna rasa. Powiadają oni: – Bądź rozważny dzisiaj, bo jutro możesz potrzebować. Nie wyrzucisz, nie będzie ci brak. Seweryna była zapobiegliwa jak Szkotka. (…)

W czwartek rano, o szóstej, Mary miała wracać do Warszawy. Smutno jej było opuszczać Sewerynę teraz, kiedy już zaczynały zupełnie dobrze się porozumiewać.

O 4.45 rano Seweryna była na nogach, jak skowronek, usiłując zmusić Mary do zjedzenia śniadania.

– Co ona tam pitrasi w kuchni? Oczywiście: hamburgery, troskliwie owinięte w srebrną folię, do zjedzenia w pociągu. Poza tym, dała Mary butelkę wody święconej z wizerunkiem Madonny, i drugą, małą buteleczkę dla Mandy.

Cudowna była ta troskliwość Ciotki Seweryny.

Przybyły na stację mając w zapasie dużo czasu. Seweryna uparła się, że wsadzi Mary do przedziału. Inni pasażerowie spokojnie czytali swoje poranne gazety. Mary chciała się po prostu wtulić w swoje siedzenie przy oknie i przemyśleć ten czas spędzony w Poznaniu, ale Seweryna krzątała się dookoła jak kwoka z kurczęciem.

Rozległ się gwizdek. Mary uśmiechała się i błagała ją w duchu: – Seweryno, proszę cię, wracaj na peron. Było jej smutno: czy jeszcze kiedyś zobaczy tę dzielną kobietę?

Pociąg ruszył. Obie miały łzy w oczach.

Patrząc potem na przesuwający się za oknem krajobraz, Mary myślała o tym ostatnim tygodniu spędzonym wśród obcych, a tak gościnnych ludzi. Czy udało jej się rozjaśnić ich życie, czy powiedziała im wystarczająco dużo, czy im się spodobała? Cóż, przynajmniej próbowała. W ciągu jednego tygodnia Seweryna dowiedziały się o swoim bracie więcej, niż w ciągu poprzednich pięćdziesięciu długich lat. Mary zrobiła, co mogła.

Rozdział 7 ukaże się w poniedziałek 22 maja 2017 r.